

KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2024, nr 1



Rok 2024

ogłoszony w Kościele rokiem modlitwy



800
1224
2024 Stygmaty
św. Franciszka

Otrzymanie

STYGMATÓW

na Alwerni stanowi
widzialny znak podobieństwa
do Chrystusa

Myszę, że warto zamieścić w naszym czasopiśmie informacje, które w tych latach są ważne dla całej rodziny franciszkańskiej. Tę specyficzną rodzinę tworzą tysiące osób żyjących duchowością św. Franciszka z Asyżu w zakonach męskich, zakonach żeńskich i we Franciszkańskim Zakonie Świeckich. Jesteśmy w trakcie trzyletnich obchodów franciszkańskiego jubileuszu (2023–2026), który upamiętnia osiemsetlecie Reguły Zakonu i pierwszych jasełek w Greccio (2023), stygmatów św. Franciszka (2024), *Pieśni stworzenia* (2025) oraz śmierci św. Franciszka (2026).

W ramach obchodów jubileuszu przewidziane są spotkania ogólnopolskie. Pierwsze spotkanie, na rozpoczęcie Triduum jubileuszowego, odbyło się 24 - 25 listopada 2023r. w Niepokalanowie i zostało zorganizowane przez Braci Mniejszych Kapucynów. W 2024 r. w Kalwarii Zebrzydowskiej jubileusz zorganizują Bracia Mniejsi. A w 2025 r. franciszkanie spotkają się na Kalwarii Pałacowskiej u Braci Mniejszych Konwentualnych. W 2026 r., kiedy będzie obchodzone 800-lecie śmierci św. Franciszka, planowane jest wspólne dziękczynienie na Górze św. Anny. Przywoływanie dzisiaj poszczególnych wydarzeń z życia św. Franciszka jest okazją do uwielbienia Pana Boga i podziękowania Mu za dar św. Franciszka dla całego Kościoła. Jest też wezwaniem dla nas dzisiaj do ponownego odkrywania dziedzictwa, jakie nam zostawił Biedaczyna z Asyżu i odnowienia gorliwości w zachowywaniu Ewangelii.

Święty Franciszek posiadał ducha misyjnego, który dalej pobudza jego duchowych synów i córki do pracy ewangelizacyjnej w krajach misyjnych. Aktualnie Zakon Braci Mniejszych Kapucynów jest obecny w 113 krajach świata. Najmłodszą obecnością jest nasza misja w Sudanie Południowym, która niedawno (2 lutego) obchodziła pierwszą rocznicę istnienia. Przed laty to właśnie działalność kapucynów na polu misyjnym, o której dowiedziałem się z ulotki powołaniowej, przyczyniła się między innymi do mojej decyzji wstąpienia do tego zakonu.

Na samym początku Adwentu ubiegłego roku, 30 listopada wyjechałem do Gabonu wraz z braćmi Andrzejem Barszczem i Zenonem Kapką, misjonarzami przeżywającymi swój rok odpoczynku. Chcieliśmy poznać misje prowadzone przez braci kapucynów z Prowincji Warszawskiej, na których



od trzech lat pracuje nasz współbrat Piotr Michalik. Odwiedziliśmy wszystkie cztery placówki misyjne które znajdują się w diecezji Libreville. Ogólne wrażenie z pobytu w tym kraju jest pozytywne. Gabon stoi na wyższym poziomie rozwoju gospodarczego niż kraje, które poznałem dotychczas. W tym rejonie gdzie pracują bracia jest elektryczność produkowana w elektrowniach wodnych. Dzięki temu można zupełnie inaczej organizować codzienne życie i pracę duszpasterską. W stolicy kraju Libreville można znaleźć całkiem dobrze zaopatrzone sklepy. Sieć dróg w stolicy jest dobrze rozwinięta, choć niewystarczająca, i w godzinach szczytu też trzeba postać w korkach. Niestety drogi poza stolicą nie są asfaltowe i w porze deszczowej często nieprzejezdne. W grudniu trafiliśmy na końcówkę pory deszczowej. Padało często i było bardzo wilgotno. Wiele o klimacie mówi fakt, że kraj ten leży na równiku i 88 procent jego powierzchni jest porośnięte lasem równikowym. Ludzie zamieszkujący Gabon nastawieni są przyjaźnie i pokojowo. Szczególnie mieszkańcy stolicy obcy są z różnymi odcieniami skóry, gdyż można tam spotkać wielu Białych i Chińczyków prowadzących różne interesy zawodowe. Podczas Adwentu mieliśmy okazję pomagać braciom w pracy duszpasterskiej, sprawować Msze św. w różnych wspólnotach i spowiadać. Katolicy tego kraju przeżywają swoją wiarę radośnie i dojrzałej niż w krajach, w których pracowałem (RŚA, Czad). Wyraża się to poprzez dobrze przygotowaną i celebrowaną liturgię, a także w jakości przygotowania do spowiedzi. W sanktuarium maryjnym gdzie kustoszem jest brat Piotr, wiele osób przychodzi na indywidualną modlitwę, adorację Najświętszego Sakramentu, modlitwę różańcową. Każdego dnia można spotkać kogoś, kto odprawia indywidualnie drogę krzyżową w plenerze. Te niektóre przykłady tutaj przywołane pokazują, że ludzie potrzebują kontaktu z Panem Bogiem na całym świecie.

Drodzy Czytelnicy

Dziękuję Wam za towarzyszenie w misji głoszenia Ewangelii, którą nam powierzył Kościół w różnych krajach świata. Dziękuję za wsparcie duchowe i materialne bez którego praca misyjna byłaby niemożliwa. Zapewniam o naszej modlitwie za Was i w Waszych intencjach.

br. Jerzy Steliga



Jezus rzekł do Marty: «Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz w to?» (J 11,25 -26)

Na progu Świąt Wielkanocnych to pytanie Jezusa zadane Marcie jest również pytaniem skierowanym i do mnie. Czy wierzę Jezusowi, czy Mu ufam całkowicie i czy idę za Nim? W tym czasie różnorakiego niepokoju prosimy Pana o pokój między narodami i ludźmi. Dzisiaj błagamy Boga o opamiętanie się tych, którzy wydają wyroki na nienarodzone dzieci w postaci dekretów. Niech zatryumfuje w świecie prawda o życiu, które od Boga pochodzi i do Niego należy. Drodzy Przyjaciele misji, życzę Wam, aby rozważanie Męki i Zmartwychwstania Pana było dla Was źródłem pokoju, radości i światła w codziennym życiu. Niech łaska Chrystusa, który pokonał śmierć, odnawia w Was Boże życie, pobudza do czynienia dobra i napełnia pokojem.

br. Jerzy Steliga



Przysłowia w języku ngambay

pisze br. Piotr Walocha, proboszcz parafii Bam w Republice Czadu



Przysłowia przekazują nam mądrość ludu. Uczą zasad postępowania, aby w sposób rozsądny i mądry przeżyć swoje życie. Tak też się dzieje w plemieniu Ngambay zamieszkującym południe Czadu. Oto kolejne przysłowia w tym języku ukazujące nam mentalność i kulturę mieszkańców tej części Czarnego Łądu.

„Ko biya mbudu bolo daa ngone a mbudu sea”

ko - matka
biya - koza
mbudu - czynić
bolo - dziura
daa - zatem
ngone - dziecko
sea - razem

Tłumaczenie przysłowia: „Jeśli koza robi dziurę w ogrodzeniu, jej dziecko uczyni to samo”.

Morał przysłowia: Uważaj na swoje zachowanie przy dzieciach, gdyż mogą cię później naśladować. Jest to zaproszenie do dawania dobrego przykładu młodemu pokoleniu.

Przykład: Pewnego dnia Adam został w domu ze swoim młodszym bratem, a rodzice poszli pracować w polu. Adam zrobił dziurę w worku z orzeszkami ziemnymi, aby się nimi potajemnie posilić. Następnie jego brat zrobił to samo. Kiedy rodzice wrócili z pola, zobaczyli, że młodsze dziecko wyjada orzeszki z worka i zaczęli na nie krzyczeć. On broniąc się powiedział, że tylko naśladuje swojego starszego brata. Ojciec chłopców zacytował przysłowie: „Ko biya mbudu bolo

daa ngone a mbudu sea” dając do zrozumienia, że trzeba ukarać nie młodszego, ale starszego syna.

„Kandji uwa ba de man yaa ba, man tel mina”.

kandji - ryba
uwa - związać się
ba - przyjaźń
de - z
man - woda
yaa - naprawdę
tel - stać się
mina - sos z ryby

Tłumaczenie przysłowia: Ryba na próżno przyjaźni się z wodą, kiedyś ryba zostanie ugotowana w wodzie”.

Morał przysłowia: Ryba nie może żyć bez wody. Można więc powiedzieć, że ryba i woda są nierozłącznymi przyjaciółmi. Jednakże pewnego dnia woda stanie się największym nieprzyjacielem ryby, kiedy posłuży do jej ugotowania. Stąd morał tego przysłowia: Nawet nasi najlepsi przyjaciele mogą się odwrócić od nas plecami.

Przykład: Paul i Simon są bardzo bliskimi przyjaciółmi. Paul ma swoją dziewczynę, z którą chodzi od kilku miesięcy, i z którą pragnie się ożenić. Czasami, kiedy odwiedza swoją dziewczynę w domu jej rodziców, Paul zabiera ze sobą przyjaciela Simona. Po pewnym czasie Simon zaczął się zalecać do dziewczyny. Dziewczyna informuje o tym swojego chłopaka. Paul zdziwiony i zszokowany zachowaniem swojego najlepszego przyjaciela zaczyna cytować dziewczynie przysłowie: „Kandji uwa ba de man yaa ba, man tel mina”.



Do małżeństwa trzeba stada krów

pisze br. Robert Wieczorek, , proboszcz parafii Rubkona w Sudanie Płd. ● ● ● ● ● ● ● ●

Pamiętam, jak przed paru laty, wracając z Polski po kolejnym urlopie, zatrzymałem się na misji w Bouar. Przy kolacji pochwaliłem się rodakowi, biskupowi Mirkowi Gucwie, że mam już zaproszenie od przyjaciół na ich ślub za dwa lata. Przysłuchujący się tej rozmowie francuscy wolontariusze okazali zdziwienie takim długoterminowym planowaniem. „No tak – wyjaśniłem – bo w Polsce salę i muzyków trzeba zamawiać przynajmniej z rocznym wyprzedzeniem”. A biskup Mirek pociągnął: „Jak już masz salę i grajków, to wtedy możesz zacząć się oglądać za kandydatką na żonę...”

U Nuerów też do małżeństwa potrzeba nie tylko pary młodych, ale przede wszystkim stada krów! To plemię z dorzeczna górnego Nilu Białego do tej pory jest półosiadłymi nomadami, co się tłumaczy przez ich wielkie przywiązanie do hodowli bydła oraz bezpardonową obronę pastwisk. Posiadanie licznych stad to tutaj oznaka największego prestiżu i przyczyna nieukrywanej dumy. Krowy bowiem dostarczają wszystkiego co potrzebne do życia. I bez dysponowania przez rodzinę stadem liczącym przynajmniej 40 sztuk nie można myśleć o ożenku dla syna. W Sudanie Południowym – podobnie jak to było przez wieki w Europie – zebranie odpowiedniego posagu gwarantującego dobry ożenek to sprawa rodziny pana młodego. Unika się tu także małżeństw endemicznych, czyli związków spokrewnionych ze sobą osób. Ten zwyczaj w połączeniu ze zdrową mleczną dietą z pewnością tłumaczy fakt, że Nuerowie są z reguły wysocy i solidnie zbudowani. Dotyczy to zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Zwyczajowe małżeństwo u Nuerów jest procesem, a nie pojedynczym aktem. Nie jest też sprawą dotyczącą samej tylko pary młodych czy ich rodziców, ale angażuje całą szeroko pojętą rodzinę. Zabezpieczenie odpowiedniego stada na wyprawkę dla udającego się w załoty młodzieńca to zbiorowy wysiłek wszystkich jego krewnych. Nie jest więc ostatecznie aż tak kolosalnym obciążeniem dla jego rodziców, jakby się mogło z początku wydawać. Ale skoro cenę jednej krowy szacuje się dziś na jakieś 300 dolarów, to posiadanie córki oznacza potencjalny majątek.

Małżeństwo jest zawierane przez ciąg odprawianych rytuałów i płacenie rodzinie panny młodej kolejnymi partiami krów. To jakby stopniowe zacieśnianie więzów między dwoma klanami przez coraz ściślej angażujące zobowiązania ze strony rodziny przyszłego pana młodego, ale i nabywane przezeń prawa do jego wybranki.

Dziewczyna nie przyjmie załotów, jeśli nie będzie pewna, że chłopak ma do dyspozycji krowy jako posag dla jej rodziny. Młody z kolegami prosi rodziców dziewczyny o pozwolenie na kontakty, a ci konsultują się ze starszą rodową.

Gdy jest zgoda, schodzą się w oborze (domu ojca). Kandydat z kompanią siadają po prawej stronie dziewczyny, a rodzina po jej lewej – i zaczyna się rozmowa o krowach. Najdostojniejszy spośród mężczyzn z rodziny młodego jest typowany na swata i to on prowadzi rozmowę. Dla pozostawienia dobrego wrażenia chłopak stara się jak najmniej mówić. Po akceptacji kandydatury młodzi idą do sąsiedniego gospodarstwa na posiłek, bo na razie nie wolno im jeszcze iść do rodzinnego domu kandydatki do małżeństwa. Gdy wstępna umowa o pierwszą partię krów jest zakończona, można zacząć planowanie ceremonii narzeczeństwa.



Zaręczyny nie są konieczne i można by przejść też bezpośrednio do ślubu, jeśli pan młody jest bogaty i posłał od razu wszystkie wymagane krowy, a pani młoda jest dziewczyną i w wieku stosownym do małżeństwa. Jeśli zaręczyny są w porę mokrą, to małżeństwo powinno przypaść na następujący po niej sezon wiatrów. Zdarza się często przedłużanie okresu oczekiwania z powodu ubóstwa. Bracia pani młodej nie pozwolą jednak na zbyt długą zwłokę, bo są zainteresowani krowami utrzymanymi za ich siostrę, by postąpić naprzód we własnych sprawach matrymonialnych. W praktyce więc krowy na posag są traktowane jak „puchary przechodnie”.

Ceremonia narzeczeństwa jest prowizoryczną ugodą między dwoma rodzinami i wymaga przekazania ze strony narzeczonego od 3 do 10 krów. Pochody towarzyszące panu i pani młodej ze śpiewem na ustach schodzą się na spotkanie koło domu ojca pani, ale bez wchodzenia do wewnątrz. Jej matka musi być uhonorowana specjalnym hymnem. Młody ozdobiony bransoletami i naszyjnikami oraz swat-negocjator wprowadzają krowy przeznaczone na posag.

Kluczowym momentem jest ofiara złożona duchom przodków pani młodej z modlitwą skierowaną do nich

w momencie zabijania zwierzęcia. Sama rodzina młodego w tej ofierze nie uczestniczy, ale będzie miała prawo do części mięsa. Ten ryt odbywa się dyskretnie, przyciszonym głosem i dotyczy tylko najbliższych krewnych młodej. Tymczasem inni obecni rozmawiają, krzyczą, żartują. Młodzi tańczą, kobiety przez pół nocy szykują jedzenie, starsi korzystają z okazji zebrania, piją piwo i dyskutują o różnych sprawach, zaś dziewczyny ze strony młodego spędzają czas z chłopakami na flirtach. Dla większości uczestników czas ofiary to atmosfera rozgardiaszu i żartów przy podziale mięsa. Nie ma w tej ceremonii jakiegoś specjalnego porządku, panuje raczej niefrasobliwość i konfuzja.

Naręczony od tego czasu może czasem odwiedzać swą wybrankę, ale są bacznie obserwowani i spanie ze sobą nie wchodzi w rachubę.

Obydwie strony są zainteresowane jak najszybszym zawarciem **małżeństwa**, bo jedni chcą żony dla syna, a drudzy krów na ożenek brata pani młodej. Krów otrzymanych podczas ceremonii narzeczeństwa nie można jeszcze obrócić na własny użytek, bo zdarza się zerwanie zaręczyn, a wtedy trzeba je oddać w ramach anulowania kontraktu.

Po ostatecznym sprowadzeniu reszty przewidzianych krów szefowie obu rodów rzucają na nie popiół, kierując włócznie w stronę nieba i wołają do bóstw opiekuńczych rodziny: „To twoja żona, nasz boże, opiekuj się nią!” Taki powinien być koniec negocjacji. Dopóki nie zostanie uiszczona cała zapłata, dopóty kobieta nadal nie może osiągnąć statusu żony.

Problemem często jest sposób podziału krów między dalszych członków rodziny pani młodej. „Mający swoje pra-

wa” dalsi krewni chcieliby wykorzystać tę sytuację, ale teść tymczasem broni swego zięcia przed nimi. Rozmowy są więc często sprzeczkami między starszymi rodzin. Towarzyszy temu rytualne palenie fajki. Pani młoda ukazuje się w tym czasie po raz pierwszy i tańczy ubrana w czarną skórę. Podczas tych rozmów młodzi z dwóch ekip uczestniczą w swego rodzaju zawodach, kto przy pomocy włóczni zdobędzie zawieszony przez ojca na ogrodzeniu sznur.



Na tę okazję budowane są dwa domy – dla młodych i ich asysty oraz dla członków dwóch rodzin. Uczestnicy spędzają w nich całą noc. Po skończeniu rozmów pani młoda i jej rodzeństwo są namaszczeni masłem. Na tym etapie małżeństwo uważa się za zawarte, choć jeszcze nieskonsumowane. Od tego czasu ewentualne współżycie kobiety z innym mężczyzną uważane jest za cudzołóstwo i wymagałoby ze strony uwodziciela rekompensaty dla męża. Na koniec ofiarują kolejnego byka, usprawiedliwiając się przed nim, że nie dla złej, lecz dla dobrej sprawy jest zabijany.

Skonsumowanie małżeństwa. Dla Nuerów panieństwo jest stanem społecznym, a nie fizycznym – akcent kładzie się bardziej na zamążpójście, a mniej na dziewictwo. Po zawarciu małżeństwa dwie grupy schodzą się, śpiewając ułożone na tę okazję pieśni, w których małżonkowie wychwalają zalety swoich ukochanych. Wreszcie młodzi wymykają się do domu pani młodej i tam odbywają pożycie. Rano po wyjściu pana młodego z domu żony czekają go jeszcze kuksańce przycajonych nań koleżanek żony, musi więc „salwować się ucieczką”. To takie ostatnie przekomarzania po stracie koleżanki.



Składana jest też kolejna ofiara z byka – na cześć przodków, ale tym razem pana młodego. Ceregoniarz zwraca się do nich: „Oto widzicie waszego byka. Niech ona będzie dobrą żoną, niech urodzi liczne potomstwo, wielu synów. Niech dobrze pracuje w domu swego męża, doi krowy, suszy łajno, niech będzie wierna i nie rozrzutna”. Zabite zwierzę jest dzielone pomiędzy gości z rodziny, a reszta trafia do pozostałych uczestników uroczystości.

Ten kolejny etap ma ważne konsekwencje dla kobiety: oto przechodzi pod całkowitą kontrolę teściów, co oznacza stopniowe rozwiązywanie relacji z własną rodziną. Cokolwiek odtąd nabywa, jest własnością jej męża. A jeśli by się zdarzyło, że popełniłaby jakieś przestępstwo, to jej mąż będzie pociągany do odpowiedzialności. Odtąd jest uznawana za mężatkę.

Ale to jeszcze nie koniec. Towarzyski zamek przyznoszą garnek z gorącą wodą, ściągają bransolety z jej rąk, myją w wodzie i garnek z nimi przekazują stronie męża, a ten obdziela nimi wszystkie dziewczyny ze swej rodziny. I wtedy przystępuje się do golenia głowy nowej żony. Koleżanki oddalają się, bo ona teraz już należy do rodziny męża. Pozbawienie jej panieńskich ozdób i obcięcie włosów to definitywny znak zakończenia okresu dziewczęcego – teraz staje się kobietą.



Ostatecznym przypieczętowaniem zawartego związku będą **narodziny dziecka**. Nowo poślubiona pozostaje nadal w zagrodzie ojca, ale otrzymuje osobny dom z wyposażeniem. Mąż przychodzi do niej spać, lecz ma się to dziać



dyskretnie i nocą, żeby go nie widziano, a odchodzi zanim rodzina rano wstanie. Jeśli teściowa podeszła go i zabrała jego włócznię pozostawioną przed drzwiami, to byłby to wstyd na całą wieś i musiałby publicznie prosić o jej zwrot. Dopiero narodziny pierwszego dziecka pozwolą członkom rodziny uznać męża ich córki za pełnoprawnego krewnego i nie będzie musiał dłużej się „ukrywać”. Wszyscy oczekują na narodziny, bo klan męża pragnie potomka, zaś teściowie od strony córki dopiero wtedy będą mogli bez komplikacji zrobić użytek z otrzymanych w posagu krów. Młoda matka idzie zamieszkać z nowonarodzonym u swego męża na kilka dni, po czym wraca do swych rodziców.

Ostatni etap to **przenosiny**: kobieta idzie mieszkać do domu zbudowanego dla niej przez męża w czasie karmienia dziecka piersią. Po jego odstawieniu definitywnie przenosi się, gdyż ma wreszcie swój nowy dom we wsi męża. Otrzymuje na tę okazję łyżki strugane z rogu, jako znak objęcia odpowiedzialności za gospodarstwo domowe swego męża. Macierzyństwo czyni z niej kobietę w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Przygotowuje tabliczkę z wypalanej gliny jako znak włączenia nowo ufundowanej rodziny do linii przodków małżonka i wiesza ją nad drzwiami. Wchodzi więc do rodziny męża nie tyle jako żona, ile bardziej jako matka, która wykarmiła dziecko w łączności z rodem ojca. Tradycyjnie dzieci należą do linii rodziny męża. Starsi jego rodu miewają więcej zwierzchności na dzieckiem niż sami biologiczni rodzice.

Po zainstalowaniu synowej w jej domu ojciec poleca swemu synowi zbudować jego własną oborę i daje mu kilka krów na początek jego własnego stada. W odróżnieniu od kobiet mających własny dom (duel), w którym żyją z małymi dziećmi, mąż ma swój większy i w innej formie (luak), bo mieszka w nim nie tylko z podrośniętymi synami, ale i jest on oborą dla jego bydła.

Jak widać, cały proces jest długotrwały i skomplikowany, co podkreśla wagę małżeństwa w społeczności Nuerów.



Misjonarz z Algierii: Codziennie ryzykuję swoim życiem dla Ewangelii...

pisze br. Mariusz Matejko

Spędziłem w Algierii 10 lat. Jest to kraj w północnej Afryce, położony między Marokiem a Tunezją, ponad siedem razy większy od Polski, w większości pokryty przez Saharę i zamieszkały w 99% przez muzułmanów. Chrześcijaństwo są tutaj symboliczną mniejszością.

Północna Afryka ma chwalebny chrześcijański przeszłość: św. Augustyn, dwóch papieży, piękne bazyliki, setki biskupstw... Po podboju muzułmańskim w siódmym wieku chrześcijaństwo zostało zeń prawie całkowicie wyparte. Kościół powrócił wraz z kolonistami z Europy w wieku dziewiętnastym. Jednak ten kontekst dominacji kolonialnej i polityka państwa francuskiego nie sprzyjały szerzeniu Ewangelii. Chrześcijaństwo pozostało generalnie religią obcokrajowców. Po zdobyciu przez Algierię niepodległości w 1962 i wyjeździe prawie wszystkich Europejczyków, chrześcijanie znów stali się „małą trzódka”.



Spojrzenie na Egipt Faraonów

Chrześcijaństwo w Algierii to Kościół katolicki z jego czterema diecezjami i kilkudziesięcioma (w skali całego kraju!) parafiami i wspólnotami życia konsekrowanego, które są szkieletem życia eklesjalnego. Ogromną większość z nich znów tworzą obcokrajowcy. Obecność chrześcijańska to jednak także ewangelicy, głównie nawróceni Algierczycy, dużo liczniejsi od katolików. Wielu chrześcijan jest także pośród migrantów, którzy z południa, przez Algierię starają się dostać do Europy. Chrześcijaństwo trafiają się też pośród czarnych studentów z krajów poniżej Sahary, którzy przyjeżdżają tu dzięki stypendiom algierskiego rządu.

Algieria jest młodym państwem desperacko poszukującym swojej tożsamości. W swojej dawnej historii ciężko jest jej znaleźć pozytywne punkty odniesienia. Sukcesywnie podbijana przez silniejszych (Fenicjan, Rzymian, muzułmanów, Turków, Francuzów...) nie znajdzie w niej powodów do dumy z bycia sobą. Władze postawiły więc na islam i język arabski, a „mitem założycielskim” stała się wojna z Francją o niepodległość. Jednak kolejne lata samodzielności były bardzo trudne, obfitujące w nieudane i brzemiennie w skutkach poszukiwania. Był etap „socjalistyczny”, który spowodował – jak to bywało i gdzie indziej – kryzys ekonomiczny. Później przyszedł etap „islamistyczny”, czyli ekstremizm religijny, który miał być panaceum na całe zło, a zaowocował dziesięcioletnią wojną domową. Wreszcie – obecna krucha demokracja z parlamentem i prezydentem, która w rzeczywistości jest juntą wojskową. Junta ta, czerpiąc swoją legitymizację z wojny o niepodległość i starając się zachowywać pozory oraz różnymi subwencjami kupując ład społeczny, tak naprawdę – według powszechnego przekonania – napelnia sobie kieszenie przychodami z podstawowego bogactwa kraju, czyli ropy i gazu. W tym kontekście młode w ogromnej większości społeczeństwo jest często zniechęcone, czasami zbuntowane. Wielu żyje z dnia na dzień, wielu chce wyjechać „do Europy” w poszukiwaniu lepszego



Biskup w naszej kaplicy

życia; część szuka pocieszenia w religii, wycofując się z życia społecznego; część zeświecza się i przestaje „praktykować”, albo praktykuje tylko pod presją opinii społecznej; część radykalizuje się, uważając, że „jest źle, bo nie żyjemy Koranem”, znajdując w nim motywację do zaangażowania i walki...

W takim kontekście chrześcijanie i Kościół żyją w Algierii. W tym kontekście jestem tam jako brat mniejszy kapucyn z moją wspólnotą braci. Poszukując sensu naszej obecności odwołuję się do „Latarni Ewangelicznych”, jakimi są święci naszego Kościoła:

- św. Augustyn (+430) ze swoją intelektualną refleksją nad wiarą i towarzyszeniem owczarni w tym wszystkim, co historia przynosi;

- św. Karol de Foucauld (+1916) ze swoją wolą kontemplowania i naśladowania Wcielonego Syna Bożego, uniżonego i ubożego Jezusa z Nazaretu, który prowadzi zwyczajne, codzienne życie pośród swego ludu;

bł. Pierre Claverie (+1996) i jego towarzysze – 19 błogosławionych męczenników z czasu dziesięcioletniej wojny domowej, którzy pozostali w Algierii mimo zagrożenia życia, wierni Miłości, która „daje życie za przyjaciół”;

św. Franciszek z Asyżu (+1226) – dla nas braci kapucynów z Algierii jest człowiekiem głoszenia Ewangelii i wprowadzania pokoju, który w kontekście uprzedzeń i wojen swojej epoki ryzykuje podróż i spotkanie z ówczesnym muzułmańskim przywódcą, sultanem Malikiem al-Kamilem. Tamto spotkanie sprzed ponad 800 lat my i inni franciszkanie w krajach muzułmańskich chcemy kontynuować i pogłębiać naszą misyjną obecnością.

Święci, „Latarnie Ewangeliczne”, oświełają sens obecności Kościoła w Algierii. Ich historie i słowa są inspirujące. Ale ostatecznie każdy chrześcijanin tu żyjący musi sam znaleźć swoją własną motywację i uświadomić sobie, na ile więź z Jezusem jest dla niego ważna i co jest gotowy dla Niego

poświęcić. Bo ten kontekst życia w mniejszości jest wymagający. Szczególnie dla chrześcijan Algierczyków, dla których często związane jest to ze społecznym odrzuceniem, wykluczeniem przez własną rodzinę, trudnościami w znalezieniu i utrzymaniu pracy, różnymi formami dyskryminacji... Chrześcijanie migranci, oprócz ich kruchości materialnej i niepewności z powodu bycia „obcym”, często doświadczają różnych form rasizmu i wyzysku.

Oficjalni przedstawiciele Kościoła – księża, osoby konsekrowane, siostry, bracia – są w Algierii, bo chcą być znakiem Chrystusa i Jego Kościoła, Jego Ciałem pośród tego ludu. Chcą być ludźmi pokoju, tworzenia relacji i dialogu. I chcą być w Algierii ze względu na solidarność z tymi wszystkimi ich braćmi i siostrami w Chrystusie, którzy nie mają luksusu wyboru, czy zostać, czy wyjechać.

Kościół w Algierii jest bardzo ubogi i kruchy w wielu aspektach – od materialnego poprzez intelektualny, duchowy i liczebny. Niektóre wspólnoty zakonne wymierają, inne mają trudność w odnawianiu się ze względu na brak powołań czy wiz. Również nasza wspólnota kapucyńska w Algierii, w mieście Tiaret, jest bardzo krucha. Jeden z braci ma już 90 lat. Kolejny kuruje się po ciężkiej chorobie. Trzeci przechodzi rehabilitację po ciężkim wypadku. A ja jestem na nauce języka arabskiego w Kairze, w Egipcie. W tym kontekście bracia kapucyni otrzymali niedawno zaproszenie i wezwanie Kościoła, aby przejąć obecność w Beni Abbes, pustelni Karola de Foucauld w jednej z oaz Sahary, 900 kilometrów na południe od naszej obecnej wspólnoty, po opuszczeniu jej przez starzejących się Małych Braci Jezusa. Na razie nie ma innych kandydatów. I chociaż „w bólu rodzenia” udało nam się znaleźć chętnych braci, którzy chcieliby do nas dołączyć, miesiąc temu otrzymaliśmy odmowę wiz dla nich. I wydaje się, że jesteśmy na skraju „bankructwa”, że nie ma tu dla nas przyszłości. Po co w tym kontekście uczyć się arabskiego?

Otóż wierzę, że ja, moja wspólnota braterska, Kościół w Algierii, jej wierni, ona sama – wszyscy bezpiecznie spoczywamy w rękach Pana. To On jest Panem żniwa, to On ma klucze do ludzkich serc i... do biur z wizami. Jego Opatrzność nad nami czuwa. Jego Miłość nas nie zawiedzie. Uczę się arabskiego, bo chcę sobą i swoim zaangażowaniem wyrazić tę wiarę, bo chcę aktywnie, a nie w rezygnacji, czekać na to, co Pan Bóg nam przygotował. A jest to na pewno coś dobrego i pięknego. Nie wiem, czy nasza obecność kapucyńska w Algierii przetrwa. Ale chciałbym Wam powiedzieć, że jest ona piękna, ponieważ nosi na sobie rys Ubogiego i Ukrzyżowanego, który nie przeżywa swojego umęczenia jako przekleństwa, ale przeżywa je jako dawanie siebie z miłości. Chcę się uczyć od Niego tego oddania się,



Wspólnota parafialna w Tiarecie



Z braćmi franciszkanami, którzy mnie goszczą

tej miłości. On całym kontekstem mojego życia, także tą sytuacją w Algierii, mi to umożliwia!

Kiedyś, rozmawiając z jednym z braci, zastanawialiśmy się, czy warto iść do takiego kraju jak Algieria, gdzie chrześcijan jest garstka, zamiast do innych krajów, gdzie wiernych bez posługi duszpasterskiej liczy się w milionach. Teraz jestem przekonany, że tego typu zestawienie jest błędem. Są po prostu różne powołania w Kościele, Ciele Chrystusa. Są ci, którzy posyłani są do milionów, i ci, którzy szukają jednej owieczki. Na szczęście są też także tacy, którzy jak św. Teresa z Lisieux, siostra klauzurowa, Patronka Misji, poprzez swoją modlitwę i ofiarę, jak serce pompują Bożą Miłość we wszystkie członki Chrystusowego Kościoła. Cieszymy się wzajemnie jedni drugimi i módlmy się za siebie wzajemnie, nawet jeśli nie jesteśmy misjonarzami gdzieś na pustyni czy w buszu.

Na koniec należy Wam się wyjaśnienie. Zażartowałem sobie z Was w tytule, grając na stereotypach i uprzedzeniach. Tak, owszem, codziennie ryzykuję swoim życiem, ale nie dlatego, że tropią mnie terroryści. Może jestem naiwny albo mam nadzwyczajne szczęście, ale w Algierii nie spotkał mnie żaden atak ze strony muzułmanów – ani fizyczny, ani słowny. A że problemy z wizami, że państwo nas nie chce i że wielu chętnie by nas wyrzuciło? Cóż, rozumiem, bo w takiej na przykład Polsce co myśli się często o innych, obcych? I jaką wiedzę, oprócz telewizyjnej, mają chrześcijanie o muzułmanach?

Dlaczego więc napisałem, że ryzykuję życiem? Skłamałem? Nie do końca, choć przyznaję, trochę podkolorowałem. Chodziło mi o to, że codziennie, idąc do i ze szkoły, przechodzę przez pewną bardzo ruchliwą, kilkunastniową ulicę w Kairze... Kto tu był albo będzie, zrozumie.

Góry Hoggaru na południu Algierii



25 lat diecezji Gore w Republice Czadu

pisze br. Piotr Walocha

Ojciec Rosario, włoski kapucyn, po swojej nominacji na pierwszego biskupa diecezji Gore, pojechał do Watykanu, aby spotkać się z papieżem Janem Pawłem II i poprosić go o błogosławieństwo. Trochę żartobliwie zwrócił się do papieża słowami: „Ojciec święty, jaki ciężki grzech popełniłem w swoim życiu, że Wasza Świątobliwość powierzyła mi tak ciężkie i trudne zadanie kierowania nową diecezją?”. Papież miał odpowiedzieć: „Mój synu nie mów o grzechu, ta diecezja jest dla Ciebie darem od Boga”.

25 lat temu powstała diecezja Gore, która leży na południu Czadu przy granicy z Republiką Środkowoafrykańską i Kamerunem. Tak się złożyło, że od początku jej istnienia dane mi jest być i pełnić moją posługę misyjną w tej diecezji. Dlatego chciałbym podzielić się z Wami kilkoma informacjami z 25-cio letniej historii diecezji, a także moim doświadczeniem misyjnym w tej małej „części” Kościoła w Afryce.

Papież Jan Paweł II ustanowił diecezję Gore 28 listopada 1998 r. i mianował o. Rosario Ramolo, kapucyna z prowincji Foggia we Włoszech, pierwszym biskupem diecezji. Świecenia biskupie otrzymał w Moundou 14 lutego 1999 r. wraz z hiszpańskim kombonianinem Miguelem, który objął także nowo utworzoną diecezję Lai. Tak więc z powstaniem dwóch nowych diecezji, Kościół w Czadzie w 1999 r. liczył w sumie siedem diecezji.



W środku bp Rosario Pio Ramolo

Dwaj współcześni święci są patronami diecezji Gore. Biskup Rosario powierzył nowo powstałą diecezję pod opiekę św. o. Pio, a w późniejszym czasie patronem został również św. Jan Paweł II. Powierzchnia diecezji to około 21 tys. km². Liczbę mieszkańców szacuje się na ponad 400 tys. Większość ludności zamieszkującej ten teren utrzymuje się z uprawy roli, handlu, połowu ryb i hodowli zwierząt. Nie wiele osób ma stałą pensję w urzędach, szkołach czy ośrodkach zdrowia. Oprócz katolików mieszkają tutaj protestanci, muzułmanie i wyznawcy tradycyjnych religii afrykańskich. Na terenie diecezji mieszka kilka grup etnicznych: Ngambay, Mboum, Laka, Kaba, Yamodo. Grupy te, z wyjątkiem Mboum, mają podobny dialekt i stanowią prawie 90 procent ludności diecezji. Tylko Mboum wyróżnia się innym dialektem, a także odmiennymi elementami kultury lokalnej. Należy dodać, że w ostatnich latach mamy duży przyrływ uchodźców z Republiki Środkowoafrykańskiej, uciekających z powodu wojny domowej.

Po tym ogólnym zarysie chciałbym Wam przedstawić kilka głównych aspektów działalności duszpasterskiej diecezji. Zaczę od katechezy. Jest to niewątpliwie bardzo ważny element w przekazywaniu wiary w Afryce. W Kościele w Czadzie katechumenat przygotowujący do chrztu dorosłych trwa cztery lata. W ciągu 25-ciu lat istnienia diecezji dziesiątki tysięcy katechumenów przyjęło chrzest. W ostatnich latach w ośmiu parafiach diecezji mamy około 2 tys. chrztów rocznie. Tak więc rodzina chrześcijańska w diecezji powiększa się w szybkim tempie. Ze statystyk parafialnych wynika, że w roku 2014 liczba ochrzczonych osób w całej diecezji wynosiła prawie 85 tys., natomiast pod koniec 2023 roku urosła ona aż do 103 930 osób. Ciesząc się z liczby ochrzczonych, nie można zapomnieć o trosce duszpasterskiej, by za ilością szła także jakość chrześcijańskiego życia tych osób. Prawdą jest, że wiele osób pragnie przyjąć chrzest, jednakże po jego przyjęciu brakuje im chęci zaangażowania się w życie lokalnej wspólnoty Kościoła. Ktoś powiedział, że w Kościele w Czadzie mamy wielu ochrzczonych, ale niewielu prawdziwych chrześcijan. Jakie są tego przyczyny? Najpoważniejszą jest „ciężar” tradycji afrykańskiej, który niosą ci ludzie na swoich barkach. Wielu chrześcijanom nie jest łatwo wyrzec się pewnych zwyczajów przyjętych od przodków, a zwyczajów tych nie da się pogodzić z Ewangelią. Na przykład wiara w czary, zaufanie czarownikom, których potocznie nazywa się marabu; praktykowanie poligamii, noszenie talizmanów, składanie ofiar według religii tradycyjnych, praktyka inicjacji dla młodych ludzi. Cieszy nas jednak fakt, że są chrześcijanie, którzy zdają sobie sprawę z tych problemów i starają się, by ich życie stawało się coraz bardziej ewangeliczne. W mo-

jej pracy misyjnej w diecezji Gore miałem okazję spotkać chrześcijan, którzy odrzucili pewne zachowania wynikające z tradycji. Myślę tutaj na przykład o Filipie, członku rady parafialnej, który nie mógł mieć potomstwa ze swoją żoną. Wiele osób radziło mu, aby wziął drugą żonę, aby urodziła mu dzieci. On jednak kategorycznie odmówił i do końca po-



Msza św. na 25-cio lecie diecezji Gore

został wierny przyrzeczeniom małżeńskim. Spotkałem także odważne osoby, które nie przeszły tradycyjnej inicjacji, przez co zostały odrzucone przez niektórych ludzi ze swojego środowiska. Podczas katechezy osoby te przekonały się, że formacja chrześcijańska jest najlepszą formą przygotowania do dorosłego życia i nie potrzebują już inicjacji plemiennej.

W ośmiu parafiach diecezji jest około 330 wiosek, gdzie znajdują się kaplice i wspólnoty chrześcijan kierowane przez katechistów z mandatu biskupa i proboszcza. To katechiści, pod nieobecność kapłana, głoszą kazania, przewodniczą niedzielnej modlitwie, uczą dzieci i młodzież katechizmu oraz przygotowują katechumenów do przyjęcia sakramentów. Niewątpliwie w dużej mierze jakość życia chrześcijańskiego w tych małych wspólnotach zależy od pracy katechistów. Z tego względu bardzo troszczymy się o odpowiednią ich formację. W parafii Bam, gdzie aktualnie pracuję, znajduje się diecezjalne centrum formacji dla katechistów. Katechiści wraz z rodzinami w ciągu 10 miesięcy pobytu w szkole otrzymują formację biblijną, liturgiczną, katechetyczną. Uczą się także stolarki, by zarabiać na utrzymanie swojej rodziny po powrocie do wioski. Podobnie żony katechistów uczą się szycia i szydełkowania.

Ważną rolę w życiu każdej diecezji odgrywają ruchy kościelne. W diecezji Gore działają wspólnoty dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Dzięki cotygodniowym spotkaniom w parafiach, poprzez uczestniczenie w dniach skupienia i spotkaniach organizowanych na szczeblu diecezjalnym, młodzi i dorośli otrzymują odpowiednią formację, aby

wzrastać w wierze i być animatorami wspólnot w swoich miejscowościach. To właśnie z tych grup młodzieżowych działających przy parafiach budzą się powołania do życia zakonnego i kapłańskiego. Mówiąc o powołaniach chciałbym zaznaczyć, że na terenie diecezji znajdują się trzy domy formacyjne: postulat kapucynów, niższe seminarium, gdzie uczy się ok. 120 gimnazjalistów oraz nowicjat sióstr franciszkanek w parafii Donia. W każdej parafii mamy także grupy powołaniowe, które pomagają młodzieży odkrywać ich drogę życiową.

Kiedy misjonarze przybywali do kraju misyjnego budowali na terenie misji trzy budynki: kościół, szkołę i ośrodek zdrowia. W czasie 25 lat w diecezji Gore również powstało wiele kościołów, kaplic i szkół. Ośrodków zdrowia jest w diecezji osiem. Nasza przychodnia w Bam przyjmuje każdego roku około 4 tys. chorych. W całej diecezji prawie 30 tys. chorych otrzymuje opiekę medyczną w ośrodkach zdrowia prowadzonych przez Kościół katolicki. Podziękowania za tę trudną pracę należą się siostrze zakonnej i misjonarce świeckiej, które bezpośrednio troszczą się o chorych i pracują w przychodniach nie tylko w ciągu dnia, ale nierzadko wzywane są w nocy.

Edukacja dzieci i młodzieży była zawsze szczególną troską Kościoła. Biskup Rosario chciał, aby w każdej parafii była katolicka szkoła podstawowa. Po kilku latach ten cel został osiągnięty. Dzieci rosły i potrzebowały kolejnych szkół, aby kontynuować edukację. Od roku 2013 zaczęły powstawać katolickie gimnazja, które już funkcjonują w naszych parafiach. Teraz przyszedł czas na licea katolickie. Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości będą one obecne we wszystkich parafiach diecezji.

Czad to jeden z najuboższych krajów świata, dlatego Kościół angażuje się w pomoc socjalną dzięki Caritas diecezjalnemu i parafialnemu. Caritas diecezji współpracuje z Caritas z Niemiec. Dzięki otrzymanym środkom Caritas może realizować projekty pomocowe dla najuboższych. Przychodzi również z pomocą poszkodowanym podczas powodzi czy w wyniku konfliktów zbrojnych między rolnikami i pasterzami.



Od lewej s. Barbara, br. Piotr i s. Małgorzata w Timberi



Chciałbym wspomnieć jedenastu braci kapucynów z Prowinjii Krakowskiej, misjonarzy, którzy głosili Dobrą Nowinę w 25-cio letniej historii diecezji. Są nimi: Tomasz Przybek, Jerzy Steliga, Andrzej Barszcz, Robert Wnuk, Jacek Siemieniak, Mirek Szarek, Zenon Kapka, Artur Ziarek, Tomasz Światała, Paweł Kubiak i Piotr Walocha. Pośród nich jeszcze trzech pracuje nadal w diecezji. Polscy kapucyni byli i są zaangażowani w duszpasterstwo parafialne, w prace formacyjną w postulacie kapucynów, formację katechistów, opiekę duszpasterską wspólnot chrześcijańskich w wioskach i uchodźców z RŚA. Niewątpliwie pozostawiliśmy „polski ślad” na tej czadyjskiej ziemi. Naszemu duszpasterstwu towarzyszyło też budowanie struktur kościelnych. W trzech parafiach gdzie pracowaliśmy zostały wybudowane kaplice, szkoły, studnie, plac zabaw dla dzieci i boiska sportowe. Oprócz kapucynów pracowało w diecezji dwóch polskich werbistów. Obecnie działalność misyjną prowadzą polskie siostry bezhabitu ze Zgromadzenia Niepokalanek w Timberi i Siostry Franciszkańki od Cierpiących w Mbaikoro.

Nasza diecezja staje się coraz bardziej „afrykańska”. W momencie jej utworzenia 95 procent duchowieństwa i osób zakonnych stanowili misjonarze przybyli z Europy i Kanady. Obecnie sytuacja się odwróciła. Misjonarze stanowią tylko 5 procent personelu diecezji. Miejscowi kapłani i osoby zakonne biorą odpowiedzialność za przyszłość Kościoła lokalnego. Niewątpliwie ta wielka zmiana jest pozytywnym owocem pracy misjonarzy.



Proboszcz br. Piotr Walocha

10 lutego bieżącego roku odprawiona została uroczysta Msza św. z okazji 25-cio lecia diecezji, której przewodniczył bp Rosario. Dziękowaliśmy Panu Bogu za dar tej diecezji, prosząc równocześnie o Boże błogosławieństwo na kolejne lata jej istnienia. Z okazji tego jubileuszu życzę, aby chrześcijanie diecezji Gore stawiali się coraz bardziej odważnymi i dojrzałymi świadkami Jezusa Chrystusa.

Z pozdrowieniami z Czadu br. Piotr Walocha

się w płonącym domu. Cudem udało się jej z niego wydostać, przechodząc przez ogień. Tego poranka w płomieniach zginęły jej mama i dwie siostry. Podobnych, szokujących historii było w tych dniach znacznie więcej...

Przyznam szczerze, że wobec tego zaistniałego zła, ciężko przychodziły mi słowa o radości zbliżających się Świąt. Wraz z ekipą parafian postanowiliśmy działać. Było to bardzo przejmujące doświadczenie, gdyż moi parafianie, to osoby na co dzień same doświadczające lęku i wszelkich okropieństw wojny. Chociaż mają naprawdę mało, jedzeniem i swoimi ubraniami zaczęli się spontanicznie dzielić, z tymi, którym nie pozostało już nic. Dla rannych i ich rodzin, którzy znaleźli schronienie w szpitalu, zorganizowaliśmy posiłki. W drugą niedzielę po Bożym Narodzeniu na Mszy św. przeprowadziliśmy składkę pieniędzy i płodów rolnych (manki, proso, orzeszki ziemne), artykułów higienicznych (mydło, proszek do prania). Msza św. i procesja z ofiarowanymi darami bardzo mnie wzruszyła. Widziałem sznur ludzi z miskami na głowach pełnymi darów, szczerze dzielących się tym co mają. Łzy same cisnęły mi się do oczu. Było tego naprawdę dużo, wystarczyło na zapakowanie paki naszego samochodu oraz posłanie darów do potrzebujących.



W tych dniach przyjechał do nas również Pasterz naszej diecezji Bouar - bp Mirosław Gucwa, Polak, pochodzący z okolic Limanowej. Wcześniej odwiedził poszkodowanych w Nzakoundou. Spotkanie było okazją do wymiany informacji, ustalenia kierunków pomocy. Razem modliliśmy się, a biskup rozmową wspierał cierpiących. Aż dziw bierze, że mimo takich tragicznych przeżyć, spotkanie było całkiem radosne.

Po tych wydarzeniach mieliśmy kilka tygodni względnego spokoju. Ostatnio jednak znów mamy dużo napięć. Na początku lutego, w Touga - 7 kilometrów od mojego domu - bandyci zastrzelili jednego z mieszkańców wioski. Ludzie w strachu uciekli gdzie kto mógł, czyli generalnie do bruku. Kilka dni później między Mann i Ngbama - 28 kilometrów od Ngaoundaye, uprowadzono kierowcę ciężarówki. Dwa dni później doszło do potyczki rebeliantów z wojskami rządowymi. Zginęło dwóch rebeliantów, a towarzysze broni wrócili do wioski następnego dnia, by pogrzebać swoich zmarłych kompanów. Nie obyło się bez zemsty, zaczęli rabować, strzelać na oślep i palić domy. Każdego tygodnia spotykam kobiety, które są regularnie i wielokrotnie hańbione przez rebeliantów. Ludzie znów żyją w niebezpieczeństwie i ogromnym strachu.

Coś się jednak zmieniło, pomimo niepokoju, w Nzakoundou, gdzie doszło do opisanej na wstępie masakry, odbyło się spotkanie formacyjne, tzw. konferencja. Przyszli na nią również mieszkańcy kilku sąsiednich miejscowości. Zaczęliśmy w piątek po południu, a jeszcze poprzedniego dnia wszyscy mieszkańcy Nzakoundou, którzy ocalili, ukrywali się poza miejscowością. Pomimo strachu, wrócili do domów, mówiąc, że jeśli ojciec Maciej, będzie spać u nich w wiosce, to oni również. Spotkanie się odbyło, zaproszeni z okolicznych wiosek goście dopisali, wszyscy na koniec byli bardzo szczęśliwi. Wielokrotnie podkreślano, że było to prawdziwie Boże dzieło, bo patrząc i planując „po ludzku”, spotkanie nie miało prawa się udać.



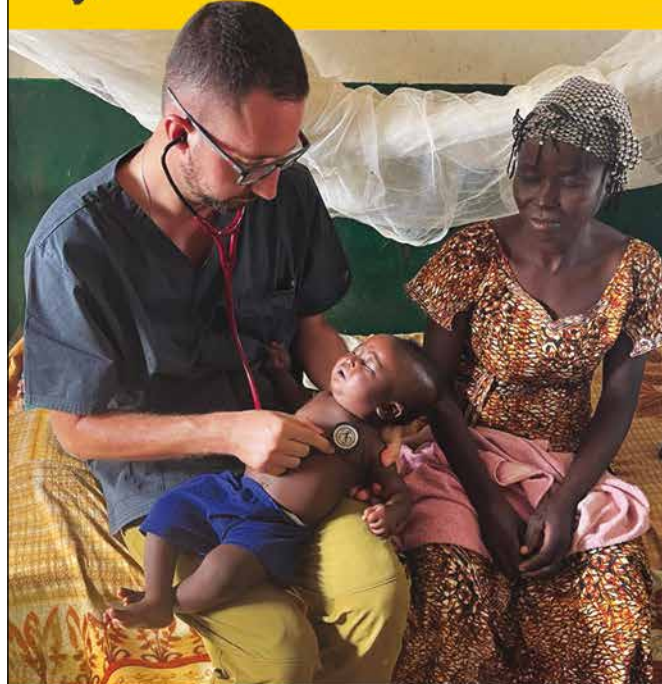
Zło, dobrem zwyciężaj

pisze br. Maciej Jabłoński, proboszcz parafii w Ngaoundaye w Republice Środkowoafrykańskiej

Nzakoundou to kilkutysięczna miejscowość położona około 90 kilometrów od naszej misji w Ngaoundaye w Republice Środkowoafrykańskiej. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia, 21 grudnia 2023 roku, doszło tam do masakry ludności i pacyfikacji wioski. Wy tłumaczenie kontekstu tego wydarzenia jest niezwykle trudne. Agresorami byli pasterze krów z plemienia Fulani, zwani u nas Mbororo. Przyszli oni do Nzakoundou aby się zemścić. Poszło o krowy, które miały być skradzione przez wojskowych z Armii Środkowoafrykańskiej. Chodziło o kilkaset sztuk bydła, których właścicielami są Czadyjczycy, mieszkający na co dzień w Ndżamenie - stolicy sąsiedniego kraju. Właściciele stada kontrolują zdalnie pasterzy Mbororo za pomocą telefonów satelitarnych. Dzięki telefonom, wiedzą gdzie przemieszczają się stada i pasterze. Mieszkańcy wioski Nzakoundou zostali oskarżeni, że podobno ktoś z nich wskazał żołnierzom (złodziejom) miejsce popasu bydła i w konsekwencji tego doszło do kradzieży.

Masakra zaczęła się 21 grudnia, około godziny 3 nad ranem. Pasterze Mbororo otoczyli wioskę i zaczęli strzelać do wszystkiego co się rusza, jednocześnie podkładając ogień na dachy domów. Mieszkańcy zaczęli uciekać w popłochu, kto zdążył, ten się uratował. Ostatecznie w ten grudniowy poranek zginęło 28 osób, w tym dzieci i 3 kobiety w stanie błogosławionym. Wioska została niemal doszczętnie spalona. Wielu rannych, w tym ci najciężej, trafili do naszego szpitala w Ngaoundaye. Powiem szczerze, że widok ran ciętych zadanych maczetą, ran postrzałowych czy poparzeń nie robi na mnie zwykle większego wrażenia. Inaczej jest, gdy mam do czynienia z rannymi dziećmi. Pośród wielu obrazów rannych, które widziałem, dwa utkwiły mi w pamięci. Czteroletnia dziewczynka, raniona w łydękę kulą z AK47. W ranę wdała się infekcja, ale na szczęście, udało się ją wyleczyć. Kula dosięgła dziewczynkę gdy była na plecach uciekającej mamy. Mama zginęła trafiona inną kulą. Drugie dziecko miało rozległe poparzenia. Dziewczynka 12-to letnia obudziła





PĄCZEK.KAPUCYNI.PL

Misjonarze kapucyni zapraszają do wsparcia misji w Wielkim Poście
Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili" (Mt 25,41).

Składając jałmużnę Wielkopostną na misje podarujesz afrykańskim dzieciom zdrowie, zapewniając im pomoc w szpitalu prowadzonym przez br. Macieja Jabłońskiego.

Twoja ofiara sprawi też, że dzieci zjedzą ciepły posiłek, będą pić czystą wodę z nowych studni i pójdą do nowej szkoły.

Wpłaty można dokonywać przez stronę

PĄCZEK.KAPUCYNI.PL

lub bezpośrednio na konto:

Fundacja Kapucyni i Misje

26 1240 4533 1111 0010 5274 9794

Post, Modlitwa i Jałmużna to fundamenty Wielkiego Postu

W tym roku, już po raz trzynasty, prowadzimy akcję pomocy pod hasłem „Wyślij pączka do Afryki”. Jest to nasza główna akcja pozyskiwania funduszy na projekty, które nasi misjonarze kapucyni chcą zrealizować w Afryce. Misjonarze żyjąc wśród Afrykańczyków widzą ich potrzeby i racjonalnie starają się pomóc. Co roku wysyłamy pieniądze na budowę studni i dożywianie dzieci, bo bez czystej wody i chociaż jednego posiłku w ciągu dnia nie da się żyć i rozwijać.

Najważniejszym projektem tegorocznej akcji jest pomoc w ratowaniu zdrowia i życia dzieci i dorosłych chorych, którzy szukają pomocy w szpitalu prowadzonym przez misjonarza br. Macieja Jabłońskiego w Ngaoundaye w Republice Środkowoafrykańskiej, naszego „dobrego Samarytana”. Brat Maciej jest proboszczem parafii i równocześnie prowadzi szpital dla miejscowej ludności. Udziela pomocy mieszkańcom rejonu Ngaoundaye (150 tysięcy mieszkańców), oraz wielu chorym z miejscowości przylegających do granicy z Czadem i Kamerunem (250 tysięcy mieszkańców). Wszystkie leki i środki opatrunkowe dla chorych w krytycznym stanie są w szpitalu bezpłatne. Jest to ewenement w skali całego kraju, bo w Republice Środkowoafrykańskiej trzeba płacić naprawdę za wszystko. Wcześniej w szpitalu było wiele śmierci, zwłaszcza dzieci, bo rodzice nie zdążyli kupić przysłowiowej strzykawki i nie było jak podać dziecku lekarstwa. Dziś, dzięki akcji „wyślij pączka do Afryki” i wsparciu naszych dobrodziejów, mamy setki uratowanych istnień ludzkich rocznie.

Chcemy również pozyskać środki na budowę jednego pawilonu liceum, ponieważ młodzież, która chce się uczyć nie jest w stanie pomieścić się w klasach. W planach jest również budowa sali koncertowo - sportowej przy szkole muzycznej, aby dzieci rozwijały swe talenty i spędzały czas wolny w bezpiecznych warunkach, a młodzież z braku innych zajęć nie została zwerbowana do grup przestępczych.

Każdy projekt, który misjonarze chcą zrealizować w Afryce jest ważny i potrzebny. Misjonarze pokazują nam do jakiego dzieła możemy się przyłączyć. Dają nam możliwość zrobienia dobrych uczynków. Na drobny gest stać każdego z nas. Nie marnujmy tej możliwości i ofiarnie, rękami misjonarzy kapucynów, pomagajmy ubogim, chorym, sierotom i wdowom.

Pamiętajmy o ludziach potrzebujących. Teraz w okresie Wielkiego Postu podzielmy się z ubogimi tym, z czego my korzystamy. Mamy czystą wodę, nasze dzieci nie cierpią głodu, nie umierają, bo nie stać nas na strzykawkę do podania leku. Doceniajmy warunki w jakich żyjemy i pamiętajmy o słowach Chrystusa „cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili.”

Dziękujemy i otaczamy modlitwą wszystkich przyjaciół i darczyńców misji kapucyńskich w Afryce.



Kupując kawę pomagasz dzieciom w Afryce

ZAPRASZAMY do sklepu: www.sklep.kapucyni.pl

tel. 12 623 60 50 wew.132

Każdy, kto kupi paczkę kawy Cardinale Massaia funduje posiłki dla osieroconych dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej



Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi na kontynencie afrykańskim w Republice Środkowoafrykańskiej i Republice Czadu.

Wspieraj misję swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom potrzebującym w krajach afrykańskich, w których pracują misjonarze z Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz
Nakład: 5500 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





TWOJE 1.5%

DOKONA WIELKIEJ ZMIANY

nakarmimy dzieci
zbudujemy szkoły
zbudujemy studnie

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU NA RZECZ FUNDACJI
KAPUCYNI I MISJE KRS: 0000356850**



PRZYŁĄCZ SIĘ DO MISJONARZY KAPUCYNÓW!
www.fundacja.kapucyni.pl